

XXI Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienski Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2023
Martyna Strojek – kategoria młodzież – proza – wyróżnienie

Godło: Chors

Pendle hill

Nie każda mądra kobieta była czarownicą. Tylko nie każdy chciał w to wierzyć. Nikt nie sądził, że jakakolwiek przedstawicielka słabszej płci potrafiłaby przynajmniej czytać. Pisanie było już zupełną abstrakcją. Pozbywanie się rzekomych czarownic już od dawna przestało być aktem dobra dla ogółu. To już nie było pozbywanie się zła z tego świata czy chronienie ludzi przed szatanem. Stało się to prostym sposobem na pozbycie się już nie tak pięknych jak dawniej żon lub kobiet, które radziły sobie lepiej w męskim fachu niż sami mężczyźni. Oczywiście nie zawsze były oskarżane kobiety. Mężczyznom też się obrywało, tylko znacznie rzadziej, bo byli bardziej odporni na propozycje szatana. W końcu sam Jezus był mężczyzną. Przynajmniej tak wszyscy mówili. Zatem za każdym razem, gdy kobieta dorównywała mężczyźnie inteligencją, była palona na stosie. „Zawarła pakt z diabłem” – mówili. Może pozbawianie jej życia nie następowało tak szybko, ale następowało zawsze. Najpierw był proces, w którym dziewczyna (jeśli rzeczywiście była tak mądra, jak ją postrzegano) udawała głupią i bezbronną. Potem najczęściej następowała próba wody. W skrócie: oskarżona była przywiązywana do kozła liną i opuszczana do wody w pobliskim jeziorze. Zasady były banalnie proste: jeśli tonęła, była niewinna; jeśli unosiła się na powierzchni, była przeklęta. Dla Aubrey to nawet miało sens. Woda będąca czystym żywołem nie mogła przyjąć do siebie nikogo, kto byłby powiązany z diabłem. Metoda była na tyle prosta i jawna, że nikt nie myślał o tym, ile warstw spódnic nosiły oskarżone, które mogły świadomie w ten sposób spowalniać swoje zanurzenie się. Nie zwracali uwagi na to, jak śliscy i przekupni byli ludzie manewrujący urządzeniem do pławienia. A manipulować tą maszyną było bardzo łatwo. Jeszcze więcej rozrywki przynosiło oglądanie próby łoż. Wszyscy mieszkańcy gromadzili się wokół złąknionej kobiety, a sędzia nakazywał jej uronić łzę na dowód swojej niewinności. To było tak idiotyczne, że aż zabawne. Większość dziewcząt była tak przerażona, że stała jak słup i nie wiedziała, co ze sobą począć. Płkanie na zawołanie było niemożliwe. Przynajmniej dla Aubrey. Aubrey nigdy nie płakała. Sama miała dobry pomysł jak ulepszyć tę próbę. Wyobrażała sobie, że oskarżonym wbijałoby się czubek noża pod paznokieć palca serdecznego. Głęboko... aż do końca. Takie rany goją się łatwo, ale są niewyobrażalnie bolesne. Ból byłby tak okropny, że ryczałyby, gdyby tylko mogły. Było i więcej takich durnych metod sprawdzania, czy ktoś był powiązany z diabłem, a jedna była głupsza od drugiej. Punktem kulminacyjnym było spalenie na stosie. Jeśli oskarżona nie przeszła którejs próby, była związywana, tak, żeby na pewno nie uciekła. Zazwyczaj było to jednak niepotrzebne. Kobiety godziły się ze swoim losem i z honorem, bez słowa pozwalały mężczyznom wrzucić je do ognia. Wrzeszczeć zaczynały potem. Tak honorową śmiercią zginęła Mary. Aubrey lubiła ją. Była gwałtowna i zdeterminowana. Gdy czegoś chciała, zawsze udawało się jej to zdobyć. Mówiła to, co myślała. Nie analizowała wszystkiego, tak dokładnie, jak powinna. Nie przeszła próby łoż. Mogła się tego spodziewać. Ogień jest wyjątkowo nieskutecznym zabójcą, pożera powietrze wokół ofiary, a ona się po prostu dusi. Ludzkie ciało opiera się płomieniom niezwykle długo. Co prawda, włosy palą się błyskawicznie, ale spopielenie kończyn następuje bardzo wolno. Agonia może trwać nawet kilka godzin. Palenie żywcem było okrutne. A jeszcze okrutniejsze było to, że patrzyli na to wszyscy mieszkańcy i czerpali z tego obrzydliwą przyjemność. Rozchodzili się po chwili, gdy wrzaski cichły. A wtedy Aubrey wychodziła z krzaków i podchodziła do ofiary. Musiała ukrócić ich cierpienie. Mary wytrzeszczyła błagalnie oczy. Już nie krzyczała, już nie miała siły. - Wiem, wiem, kochanie - powiedziała kojąco Aubrey i odsunęła głowę Mary od płomieni, aby mieć do niej lepszy dostęp. Zaparła się kolanem o ramię Mary i gwałtownie szarpnęła. Trzasnęło głośniejsz niż zazwyczaj. Miała niecodzienną wprawę w skręcaniu karków.

- William, Robert - Aubrey zdjęła fartuch.

- Wcześniej wróciliście.

- Chyba będzie padać, więc zebraliśmy się z pola - Robert, starszy z jej braci zatarł dłonie.
- Jest obiad? - Audrey położyła na stole talerze z kaszą gryczaną i kapustą. Nim się obejrzała, jedzenia nie było.
- Słuchaj, w wiosce krążą plotki - zaczął William.
- Ludzie gadają różne rzeczy.
- O czym? - odrzuciła szmatkę na stół i założyła ręce na biodrach.
- Znowu coś o Mary? Spalenie nie wystarczyło?
- Nie, oni... Po prostu... Ktoś Cię widział, jak szłaś nocą na Pendle Hill - dokończył Robert. Aubrey głośno się roześmiała.
- To poważna sprawa. Możesz mieć proces.
- Po jakie лихо miałabym tam iść? - zebrała talerze.
- Poza tym nie wierzę w te bzdury związane z czarami. Możliwe, że tam bywała. Może nawet częściej niż powinna. Ale co to kogokolwiek obchodziło?
- Ludzie gadają inaczej - powiedział Robert.
- Ludzie gadali, gadają i będą gadać.
- Nie wyszłaś za męża. Do końca życia będziecie z tym Thomasem ciągnąć się za warkocze?
- Nie chcę brać ślubu.
- Nikt do końca nie wie, co robisz. Tworzysz te szemrane specyfiki.
- Te szemrane specyfiki uratowały niejednemu życie. To po prostu nauka - Aubrey westchnęła sfrustrowana.
- Nie zdziw się, jeśli któregoś dnia sędzia dostarczy ci list w sprawie tych podejrzeń.
- Nie zdziw się, jeśli któregoś dnia sędzia się nie obudzi - wymamrotała, myjąc naczynia. A jednak już dwa dni później, gdy miała wyjść na rynek, ów świstek papieru zawitał przed jej drzwiami. Nikt nie zapukał. Nie przywitał się. Nie zapytał, jak jej mija dzień ani nie życzył jej spokojnego popołudnia. List nie był zbyt wylewny ani dający do myślenia. To i tak wiele, że poinformowano ją o tym, że miała mieć proces. Zazwyczaj nikt nie dawał kobietom szansy na przygotowanie się, a ona ową dostała. Jednak znajomości zmarłego ojca się na coś przydały. Nie miała zamiaru pozwolić na to, żeby traktowano ją inaczej - jak wiedźmę - i to przez jakieś głupie, niepoparte dowodami domysły. Zarzuciła chustę na ramiona i wyszła z chatki. Gdy dotarła do centrum zrozumiała, że już nie ma ratunku dla jej reputacji. Wszyscy patrzyli na nią tak nieprzychylnie, że nie wiedziała, czy powinna się zapaść pod ziemię, czy pochować w niej ich wszystkich.
- Dzień dobry, Margot - Aubrey skinęła głową do starszej kobiety, ale ta uciekała od niej wzrokiem.
- Mogłabym cię prosić o siedem pomidorów?
- Już nie mam. - fałszywie się uśmiechnęła i odwróciła się od stoiska, udając, że czegoś szuka. „Fałszywe babsko” – pomyślała Aubrey.
- Masz ich pełno. Nie kłam. Przecież widzę.
- Są zajęte dla kogoś innego - Aubrey spojrzała na nią z wyrzutem i pochyliła się bliżej.
- Kto uratował twojego męża, gdy ten ledwo zipał? Do kogo przyszłaś po pomoc, po maści?
- Zostaw mnie, wiedźmo! Informacje szybko się rozchodzą. Bóg ci nie wybaczy twoich grzechów - odsunęła się, a wokół nich zebrało się spore kółko ludzi.
- Wiedźma! - wydarła się Margot, a owoce z koszyka Aubrey wypadły na dróżkę.
- Od początku tak myślałam - szepnęła jedna kobieta.
- Zawsze była jakaś niezwykajna... Trzeba ją spalić! - krzyknął inny mężczyzna.
- Na stos z nią! - Aubrey ledwo udało się przecisnąć przez tłum.
- Pożalujecie tego, wy niewdzięczne stworzenia - wycedziła, gdy krzyki ucichły.
- Aubrey, na Boga, co ty tu robisz? - Thomas przetarł zaspane oczy. Było późno. Środek nocy. - Potrzebuję cyjanku. Teraz - patrzyła na niego, jednak myślami była daleko poza tą konwersacją.
- Cyjanku? Ale chwila... Nie chcesz się otruć, prawda? - zmartwiony wpuścił ją do domu.
- Aż tak głupia nie jestem - wyróciła oczami, a Thomas zapalił świeczkę.
- Daj mi ten cyjanek i zniknę.
- A jeśli nie chcę, żebyś zniknęła? - zaśmiał się i potargał włosy.
- Ale ja chcę zniknąć jak najszybciej, zanim ktoś się dowie, że tu byłam.

- A gdyby mogli wiedzieć, że tu byłaś? - zaszedł nią od tyłu i odgarnął włosy.

- Gdybyśmy zakończyli te potajemne schadzki i wzięli... Ślub?

- Żartujesz sobie? - odwróciła się w jego stronę. To Thomas nigdy nie chciał ślubu. Ona bardziej naciskała, ale udawała, że jej na tym nie zależy. Aż w końcu naprawdę przestało jej zależeć.

- W oczach wszystkich ludzi w wiosce jestem wiedźmą. Daj mi ten cyjanek i zapomnij.

- Zapomnij... O czym?

- O tym, że kiedykolwiek cokolwiek nas łączyło.

- Po co ci cyjanek? - jego ton głosu zmienił się diametralnie.

- Gdzie go masz? - zignorowała pytanie i zaczęła krążyć po jego domu.

- Miałeś go tony, pamiętam. W pokoju na lewo, prawda? - zabrała świecę ze stołu i pewnym krokiem ruszyła tam, a chłopak podążył za nią. Absurdalna ilość substancji leżała w worku na komodzie.

- Taka dawka zabiłaby stado koni! Ile myślisz chcesz otruć? Nie odpowiedziała. Wzięła wszystko i zaczęła iść w stronę wyjścia.

- Stój! - złapał ją za nadgarstek. - Powiesz mi, co zamierzasz zrobić albo to wraca do mnie.

- Śnisz - wykręcił jej rękę, a ta syknęła. Złapała za wazę stojącą w przedpokoju i długo nie myśląc, uderzyła go w głowę. Waza roztrzaskała się w drobny mak, a wściekły chłopak złapał się za zakrwawioną głowę. Żałowała, że nie stracił przytomności. Odłożyła worek i pobiegła do kuchni, kalecząc sobie stopy o kawałki rozbitej wazy. Wyraźnie słyszała kroki Thomasa. Nóż znajdował się tam, gdzie zawsze. Schowała go za plecami.

- Tak bardzo Cię przepraszam - załkała fałszywie, a chłopak był coraz bliżej. Nie wyglądało na to, że jej wybaczy.

- Ja tylko... - chciał ją popchnąć, rzucić lub uderzyć. Złapał za jej ramiona, a wtedy, używając całej swojej siły, wbiła mu sztylet w serce. Spojrzał najpierw na nóż, potem na nią. Osunął się na ziemię, a krew zaczęła wyływać nie tylko z rany na piersi, lecz także z ust. Sączyła się z buzi bąbelkami, pozostawiając ślady na drewnianej podłodze.

- A mogłeś nie zadawać pytań - ostatni raz spojrzała w jego wciąż otwarte oczy.

Ludzie i zwierzęta bardzo ciężko chorowali. Nie wiadomo skąd pojawiały się u nich zawroty głowy, problemy z oddychaniem, a nawet drgawki. W ciągu jednego dnia zmarła niemal połowa wioski, a reszta miała nie doczekać jutra. Nikt nie wiedział, co się stało. Spekulowali, że to epidemia jakiejś nowej choroby albo że Bóg ich przeklął. Mężczyźni pracowali na polu, kobiety gotowały w domach, a popołudniu jedli wspólnie obiad, popijając wodę. Dzieci polewały chleb wodą i posypywały cukrem. Wszyscy korzystali z wody, która znajdowała się w studni. Aubrey doskonale o tym wiedziała. Gdy dosypywała tonę trującej substancji, myślała tylko o jednym. „To nie twoja wina. Zastużyli na to. Robisz to, co powinnaś. To oni skazują niewinne kobiety. Muszą cierpieć”. Przechadzając się po martwej wiosce, nie myślała o niczym. Widziała leżących na dróżce ludzi: Margot, która padła tuż przy studni i małe dzieci, które wyglądały jakby spały. Oskarżenia o bycie czarownicą wprowadziły ją w taki stan, że nie mogła oprzeć się zemście. Właściwie... sprawiedliwości. Nic dziwnego, że gdy po sytuacji na rynku wbiegła na wzgórze Pendle Hill, odpowiedział jej diabeł. Spętana tak silnymi emocjami zgodziła się na wszystko, co zaproponował. Żądała sprawiedliwości. Możliwe, że z tego wszystkiego zapomniała o tym, że mieli rację. Była nieostrożna, idąc wtedy na sabat. Całkiem prawdopodobne, że zbyt dobrze wcieliła się w rolę niewinnej, zapominając, kim naprawdę była. Diabeł, który przejął jej duszę i ciało nie zapomniał. Bo nie każda mądra kobieta była czarownicą, lecz Aubrey z pewnością nią była.